

ks. Jan Sochoń, Warszawa

Liturgia i ofiara

Eucharystia jest tajemnicą, która mieści w sobie całość chrześcijańskiego życiowego doświadczenia. Uznajemy się za chrześcijan, staramy się więc utrzymywać wewnętrzną więź z Chrystusem, co też oznacza – znamy bowiem swe słabości – konieczność ciągłego wysiłku (oświeconego Bożą życzliwością), dzięki któremu bywamy uzdolnieni do powrotu na ewangeliczną ścieżkę istnienia. Dzięki Eucharystii wyrażamy fundamentalną zasadę chrześcijaństwa: Chrystus umarł za wszystkich ludzi, bo każdy z nich – w sensie czasowym – był i jest Jego bliźnim. Wówczas to, co nieskończone i niezmierzone, weszło – jak mówił Hans Urs von Balthasar – dzięki krzyżowi do miłości chrześcijańskiej. Chrystus umarł, abyśmy mogli zasługiwać na zbawienie, czyli uczestnictwo w życiu Bożym. Jest bowiem rzeczą nie wymagającą dowodu, że o własnych siłach nie moglibyśmy wznieść się na zbawcze wyżyny. On – Jezus – odkupił nas w sposób czynny, a my staramy się odpowiadać na ten dar żarliwością wiary i codziennym świadectwem. Marzymy o tym, aby w naszym osobistym życiu pojawił się realny znak Bożej obecności. Jesteśmy tylko ludźmi, zatem potrzebujemy widzialnych (liturgicznych) znaków.

Dlaczego jednak odczuwamy tego rodzaju pragnienie? Z trzech powodów. Po pierwsze – wynika to z samej naszej natury, która daje się prowadzić do spraw duchowych jedynie poprzez znaki materialne. Po drugie – nasza skłonność do zła i grzechu sprawia, że potrzebujemy „duchowego lekarstwa”, ujawniającego się właśnie w zewnętrznych znakach. I po trzecie wreszcie – wszystkich nas intryguje cielesność i byłoby czymś bardzo uciążliwym, gdybyśmy zostali odarci z wartości przez nią niesionych. Dlatego z Jezusem możemy spotykać się w sakramentach świętych, których znaki chronią przed zabobonami i magią. Co prawda, nie jesteśmy w stanie widywać się z Nim twarzą w twarz, ucałować na powitanie. Duchowa bliskość spełnia się w wymiarze wewnętrznym.

Należy pamiętać, że nasze gesty, nasze słowa kryją i ujawniają zarazem nasz udział w tajemnicy życia, śmierci i zmartwychwstania Chrystusa. Ogołoceny z chwały, przeżywający od wewnątrz ludzki grzech Boży Pomazaniec swoją ziemską działalnością (chrzest w Jordanie) przygotował nas do przyjęcia chrztu sakramentalnego. Śmierć i chrzest łączą się w jednym odkupieńczym działaniu Jezusa, który symbolicznie wziął na siebie grzechy całego świata i zaniósł je na krzyż. I odtąd (już publicznie) świadczył o tym, że oto zjawily się przed ludźmi szanse zasługiwania na zbawienie. Otrzymali oni konkretne wsparcie: Bóg Trójjedyny, nie mając względu na osobę, śpieszy na pomoc wszystkim, bo wszyscy znaleźli się w promieniowaniu epifanii. Należy tylko chcieć pozostawać w blasku tej łaski. Właśnie liturgia przynosi taką szansę. W ten też sposób podkreślamy, że Eucharystia pozostaje Sakramentem Ofiary. Co to znaczy?

Słowo „ofiara” straciło dzisiaj wiele ze swego pierwotnego znaczenia. Najczęściej odnosimy je do różnych form wyrzeczenia, jakie podejmujemy w różnorodnych sytuacjach egzystencjalnych. Mówimy na przykład: ofiaruję ci trochę mojego czasu albo: uczynię ofiarę, nie jedząc przez kilka dni krewetek, które bardzo lubię. Tymczasem ofiara ma sens o wiele głębszy, kieruje nas bowiem w głąb naszego wnętrza, gdzie krystalizują się nadzieje, że pełnię szczęścia będziemy mogli osiągnąć dopiero w Bogu. Ofiara to przede wszystkim całkowite ukierunkowanie działań na Boga, oddanie siebie Bogu, bez żadnych z naszej strony uwarunkowań. Oczywiście, wymaga to niemałych wyrzeczeń, całkowitego porzucenia egoizmu, który zasadniczo gnieździ się w każdym ludzkim sercu. Nie sposób bez zastrzeżeń przyjąć czyjegoś twierdzenia, że jest on ostatecznie oddany Bogu i nie odczuwa

najmniejszych nawet samolubnych podniet. Taka postawa byłaby wyrazem wyjątkowej pychy i samouwielenia.

Ofiarę doskonałą, wypływającą z bezinteresownej miłości mógł spełnić i spełnił tylko Chrystus, którego życie było jedną wielką Ofiarą. On niczego nie czynił dla siebie. Był całkowicie oddany ludziom. Jego styl życia wyrażał doskonałą miłość i tylko miłość, czego wyrazem stała się śmierć na krzyżu, przygotowana przez święte dni paschalnego trudu. Trudno to nam sobie wyobrazić, ale właśnie tak było. Dlatego Chrystus chce być ze światem nie tylko w porządku wewnętrznej jedności, ale w zewnętrznej rzeczywistości życia, czyli w tajemnicy chleba i wina. Od początku ziemskiej misji owa tajemnica przenikała wszystkie Jego decyzje. Zbawcza śmierć złączyła się z tajemnicą Eucharystii. Odtąd ten pasyjny wymiar liturgii trwa przez cały rok liturgiczny, niemniej jednak szczególnie jest widoczny podczas Triduum Paschalnego Męki i Zmartwychwstania Pańskiego, a zwłaszcza w liturgii Męki Pańskiej w Wielki Piątek. W tym czasie rozważa się specjalnie dobrane teksty, opisujące mesjański wjazd Jezusa do Jerozolimy oraz kolejne wydarzenia prowadzące do „męki i chwalebego zmartwychwstania”. I musimy o tym wiedzieć, coraz głębiej przeżywać i przyjmować z ufnością. Możemy dawać ewangeliczne świadectwo, posunięte aż do granic niemożliwych, gdy potrafimy współcierpieć i „oddawać życie”, czerpiąc siły ze świadomości swego „bycia-w-Panu” i Jego „bycia-w nas”. To fundamentalna sprawa.

Jednak trzeba dodać, że im bardziej zbliżamy się do Chrystusa, rośnie między nami poczucie dystansu. W miarę zaś uprzytomniania sobie Jezusowego pokornego zniżania się pojawia się zrozumienie, że właśnie w tym tkwi i ujawnia się cały niewyobrażalny majestat. Im bardziej rzeka się On swej siły na rzecz słabości w cierpieniu, tym jaśniejsza staje się prawda, że jedynie On ma moc, by „życie swoje oddać za owce” i „by znów je odzyskać” (J 10,15-17). Jedyne On może cierpieć i umrzeć za wszystkich, i powstać z martwych. Ale wystrzegajmy się bolesnego faktu, aby nie ograniczać osobistego świadectwa do historycznego wydarzenia śmierci Zbawiciela albo uczestnictwa w Eucharystii jako uroczystości wyrażającej wdzięczną pamięć o dobrodziejstwie Odkupienia. To wyrażnie nie wystarcza, nie tylko dlatego, że chrześcijanin powinien rozważać słowo Boże jako aktualne, nadchodzące (w Duchu Świętym), ale również dlatego, że w przeistoczeniu i w komunii „wspominany” Pan jest rzeczywiście obecny cieleśnie i duchowo: przed nami, z nami, w nas. W ten sposób krzyż staje się drogą nawrócenia i siłą napędową chrześcijańskiej nadziei.

Czy jednak konieczny był tego rodzaju „atomowy zapłon” – śmierć na hańbiącej belce? Potoczne rozumowanie zdaje się przebiegać następująco: oto Jezus utożsamiał się z grzeszną ludzkością, wziął na siebie karę dla niej przeznaczoną i uczynił ze swego życia zadośćczyniącą Ofiarę. Ponieważ ludzie obrazili Boga, przekreślając Jego Boskie prawo, należy zadośćuczynić sprawiedliwości Bożej. Jezus godzi się wziąć na siebie należną ludziom karę. Czyżby zatem Krew przelana na Kalwarii to cena za dług, jakiej Bóg wymaga za obrazę, której doznał od grzesznych ludzi? Wcale nie jest łatwo wybrnąć z interpretacyjnej trudności. Ewangeliści, ale również św. Paweł Apostoł, stosują takie terminy, jak „okup”, kara, sprawiedliwość, ofiara. Nadto dla najbliższych przyjaciół Chrystusa krzyż nie wydawał się czymś oczywistym i koniecznym. Być może uznali najpierw Jego śmierć za zwieńczenie ofiarniczego kultu Starego Testamentu. Ale Bogu przecież niczego nie przydają krwawe ofiary.

Porzucmy więc przekonanie o tym, że Jezus przyjmując śmierć krzyżową wykonywał określony Boży rozkaz. Nie! Posłuszeństwo Jezusa ujawnia Boga takim, jakim On jest, a nie takim, jakim my chcielibyśmy Go widzieć. Zwróćmy uwagę, że w Bogu Trójjednym „dzieje się” tylko miłość, gdzie śmierć utożsamia się z życiem. Życie – znaczy kochać, lecz kochać – to umierać dla siebie, miłość bowiem jest istnieniem przez innych i dla innych. Bóg po prostu nieustannie oddaje nam siebie. Jak to się dzieje, trudno bliżej określić. Mogę jedynie wypowiedzieć w bardzo osobistym języku, że Bóg daje nam w swoim Synu coś najdroższego,

jakby samego siebie. On może oddać się całkowicie, gdyż Jego Bóstwo wyraża się w ogołoceniu, uniżeniu, służbie. Dopóki nie zrozumiemy, że wszechmoc Boga – jak pięknie napisał F. Varillon – jest wszechmocą rezygnacji z siebie, dopóki we własnym życiu nie doświadczymy prawdy, że potrzeba o wiele większej miłości, aby się usunąć w cień, niż aby narzucać siebie, nie przybliżymy się ani na krok do tajemnicy Jezusowej Golgoty. Kochać kogoś – to pragnąć, żeby istniał, nie zaś nieustannie narzucać mu własną osobę, umniejszając tym samym wolność jego istnienia. Taka jest potęga miłości, w której centrum jest przebaczenie i miłosierdzie.

Zatem krzyż jest znakiem miłości – miłości do końca, to odkrycie przed nami prawdziwej natury Bożej wszechmocy, która jest tylko wszechmocą miłości. Baranek prowadzony na rzeź, jak mówił prorok Izajasz, wiedzie ku tajemnicy Boga pokonanego przez cierpienie, oplutego i znieważonego, ale to właśnie Baranek Boży sprawia, że nasze życie w Nim i przez Niego ma sens. Taka jest najważniejsza prawda naszej wiary, wyrażana w sposób wyraźny w liturgii. Jej centrum – Eucharystia jest Ofiarą Chrystusa, z której wyrasta nowe życie, Niebieskie Jeruzalem, Uczta Niebiańska. Stąd i dla nas ważny wniosek: życie wówczas jest autentyczne i egzystencjalnie szczere, kiedy jest ofiarowane, to znaczy wychylone z całych sił ku Bogu. Uczestnicząc w liturgii, dajemy o tym pełne i owocne świadectwo.

